

Hélène Cixous

Śmiech Meduzy

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4/5/6 (22/23/24),
147-166

1993

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Hélène Cixous

Śmiech Meduzy

Będę mówić o pisarstwie kobiecym (*écriture féminine*): o tym, co ono spowoduje. Chodzi o to, żeby kobieta wreszcie siebie napisała: musi zacząć pisać o kobiecie i wprowadzić kobiety w świat pisma, z którego zostały wyparte z taką samą gwałtownością, jak i z odczuwania swoich ciał; z tych samych powodów, tym samym prawem i w tym samym, śmiertelnościami celu. Kobieta musi sama, własnym wysiłkiem, wstąpić w tekst — jak w świat i w historię.

Przeszłość nie może dłużej wytyczać przyszłości. Nie zaprzeczam, że skutki minionego są wciąż obecne. Odmawiam jednak utwierdzenia ich przez powtarzanie; wyposażania ich w atrybuty nieugiętego przeznaczenia; mieszania biologii z kulturą. Musimy je uprzędzić.

Zbliżamy się dopiero do punktu, gdy trzeba dokonać zasadniczego odkrycia, więc również te rozważania noszą na sobie znamie czasu przejściowego, w którym żyjemy, w którym nowe (a właściwie — nowa!) wyswobadza się dopiero spod starego. Nie ma jeszcze miejsca, gdzie można by zaczepić ten sposób mówienia, jest tylko tysiącletnia, pustynna skamielina do rozłupania, i dlatego to, co mówię ma dwie twarze i co najmniej dwa cele: zburzyć, zniszczyć: przewidzieć nieprzewidywalne, rzutować w przyszłość.

Piszę to jako kobieta do kobiet. A kiedy mówię „kobieta”, myślę o kobiecie w nieuchronnej walce z klasycznym mężczyzną; o kobiecie — uniwersalnym podmiocie, który wprowadzi kobietę w jej (ich) sposób odczuwania i w historię. Ale przede wszystkim trzeba powiedzieć, że

mimo skandalicznego stłumienia, które utrzymuje je „w mroku” i każe im uznać, że mroczność jest ich przymiotem, nie istnieje kobieta typowa. Tym, co one mają w spólnego, zajmę się później. Pociąga mnie bowiem nieskończone bogactwo ich istnień poszczególnych: nie można mówić o jednej seksualności kobiecej, niezróżnicowanej, jednolitej, o ustalonym przebiegu i nie zawierającej niczego nieprzewidywalnego. Tak jak nie można mówić o jednej świadomości, również wyobrażenia kobiet jest niewyczerpana, jak muzyka, jak malarstwo, jak pisarstwo: twory ich fantazji są niezwykle. Wiele razy zachwyciło mnie to, co kobieta opisywała ze swego świata, nawiedzanego w tajemnicy od najwcześniejszego dzieciństwa. Świata badania, zdobywania doświadczeń dzięki dokładnemu i namiętnemu studiowaniu pobudliwości i systematycznej obserwacji funkcjonowania swojego ciała. Te poszukiwania, niezwykle bogate i pomysłowe, szczególnie w dziedzinie masturbacji, rozwijają się i prowadzą do tworzenia form, wiodą w kierunku prawdziwej aktywności estetycznej, w której każda rozkosz znajduje swój wydzźwięk, pojawia się kompozycja, coś pięknego. Piękno nie będzie już odtąd zakazane. Chcę więc, by ona zaczęła pisać i ustanowiła to jedyne królestwo: po to, by inne kobiety pisały, by inne nieujawnione władczynie mogły wykrzyknąć: ja też wylewam się, moje pragnienia powołały do życia nowe pragnienia, moje ciało zna te niesłychane pieśni, tak wiele razy czułam się już gotowa wybuchnąć świetlistym strumieniem o formach dużo piękniejszych niż te zastygłe w gotowych schematach. I ja też — nie powiedziałam nic, niczego nie pokazałam, nie otworzyłam nawet ust, nie przemałowałam mojej połowy świata. Wstydziłam się. Bałam się i jadłam mój wstyd. Mówiłam sobie: zwariowałaś! Co się w tobie dzieje, co to za wysoki i wylewy? Jaka jest kobieta wprowadzona w stan wrzenia, i nieskończoność, nie zatopiona w swojej naiwności, nie pogrążona w niewiedzy i pogardzająca sama sobą we władzy ojcowsko-mężowsko-fallogocentrycznej, już nie wstydząca się swych moców? Która zaskoczona i przerażona fantastycznym rozedrganiem swych popędów (bo wpajano jej, że ustabilizowaną, normalną kobietę cechuje niewzruszony, boski spokój) nie oskarżała się o spotwornienie, któraż czując śmieszność swych pragnień (śpiewania, pisanie, mówienia, czyli po prostu — tworzenia czegoś nowego), nie uznała siebie za chorą? Ta jej wstydliva choroba polega na tym, że nie chce się ona dać uśmiercić, że nie daje się zdyscyplinować.

Dlaczego nie piszesz? Pisz! Pisanie jest dla ciebie, ty jesteś dla siebie, twoje ciało jest dla ciebie, weź je! Wiem, dlaczego nie pisałaś. (I dlaczego ja nie pisałam aż do ukończenia 27 lat.) Dlatego, że pisanie jest czymś zbyt wysokim, zbyt wielkim dla ciebie, jest zarezerwowane dla wielkich, to znaczy „dla wielkich mężczyzn”, a ty możesz tylko „pleść głupstwa”.

Poza tym trochę pisałaś, ale w ukryciu. To nie było dobre, właśnie dlatego, że ukryte, naznaczone poczuciem winy, i nie do końca; albo dlatego, że pisząc, tak jak onanizujemy się w ukryciu, nie robimy tego by pójść dalej, a tylko by trochę złagodzić napięcie, rozładować niepokój. I wreszcie, jak tylko osiągnęliśmy rozkosz, obciążamy się też pospiesznie winą — by sobie przebaczać; albo szybko zapominamy, dość: grzebiemy to w sobie, i tak aż do następnego razu.

Pisz tak, żeby nikt cię nie krępował, nie więził: ani mężczyzna, ani idiotyczny mechanizm kapitalizmu, w którym wydawnictwa są podstępny i unizonymi sługami ekonomicznej konieczności działającej przeciwko nam i usadowionej na naszych barkach; ani nawet t y s a m a. Prawdziwe teksty kobiece, teksty z kobiecym seksem — właśnie tego oni zdecydowanie nie lubią, boją się ich, budzą w nich wstręt. Maluje się on równo na gębach recenzentów, redaktorów odpowiedzialnych i samych szefów u szczytu władzy.

Piszę jak kobieta: bo kobieta powinna pisać kobietę. A mężczyzna mężczyznę. Znajdziemy tu więc tylko pośrednie sądy o mężczyznach, bo to do nich należy określenie, czym jest dla nich kobiecość i co w sobie uznają za męskie: można będzie się tym dokładniej zająć, gdy oni wreszcie przejrzą na oczy, by się zobaczyć.¹

One przybywają z daleka: spoza czasu, z pustkowiec, gdzie wiodą swój żywot czarownic, spod spodu, spod „kultury”, z *dzieciństwa*, tak bolesnego, że trzeba je zapomnieć, pogrzebać w niepamięci. Małe dziewczynki uwięzione w „źle wychowanych” ciałach. Pełne rezerwy, niedostępne nawet same dla siebie, zimne jak gład. Nieczułe. Ale cóż się pod tym kłębi! Na jakie wysiłki muszą się zdobyć strażnicy seksu, zawsze gotowi do akcji, żeby zagrozić drogę nadciągającym niebezpieczeństwom. Siły naprzeciw siebie, w pełnej mobilizacji, bój trwa od wieków, unieruchomiony w martwym punkcie chwiejnej równowagi.

A oto nadciągają, przybyłe spoza czasu: gdyż podświadomość jest nie do zdobycia. Długo błędziły, kręcąc się w kółko po obszernym domu

¹ Mężczyźni też właściwie mają jeszcze wszystko przed sobą w dziedzinie mówienia i pisania o ich własnej seksualności. Dla większości cała dotychczasowa wiedza ogniskuje się w problemie przeciwieństwa aktywny — pasywny, stosunku siły, albo też znajdują swój wyraz fantazmaty zaborczej, kolonizatorskiej, obowiązkowej męskości, podczas gdy kobieta przedstawiana jest jako „ziemia mroczna i dziewicza”, a więc — do zdobycia i okiełznania (wiadomo, co znaczy: okiełznać, to skotomizacja innego i niedoczenie siebie i ciała). Następnie zdobywca szybko oddala się, znika z pola widzenia. Sposób, w jaki mężczyzna wychodzi z siebie w tę, którą posiada, pozbawia go, dobrze o tym wie, jego własnej cielesności, on ze swoim penisem podejmuje podbój, toteż rozumiemy, że kieruje się on resentymentem i obawą przed „zawładnięciem” przez kobietę, zagubieniem się w niej, wchłonięciem, lub samotnością.

dla lalek, dokąd je zapędzono: tam pobierały wymóżdżające i zabójcze wychowanie. Można nawet popuścić wędzidło, zwolnić, skoro zostały skolonizowane i poddane władzy apartheidu — ale tylko do czasu. Można je uczyć, odkąd zaczynają wymawiać swoje imię, że należą do czarnych: jesteś Afryką, jesteś ciemna. Czarne — to twoje. Czarne jest niebezpieczne. W mroku nic nie widzisz, boisz się. Nie ruszaj się, bo możesz upaść. A szczególnie — nie chodź do lasu. Mamy wpojony strach przed ciemnością.

Przeciwko kobietom popełniono największą zbrodnię: przemocą, podstępem doprowadzono je do tego, że zaczęły nienawidzić kobiet, stały się własnymi wrogami, ich ogromną moc zwrócono przeciwko nim samym, zrobiono z nich wykonawczynie męskiego interesu.

Zaszczepili im anty-narcyzm! Narcyzm dla niekochających siebie, ale zdobywających miłość tym, czego nie posiadają! Stworzyli dla nich niegodną logikę anty-miłości.

My, przerosnięte dzieci, odepchnięte od kultury, piękne usta zatkane kneblem, puchy marne, przerwane westchnienia, my: labirynty, drabiny, stratowane ziemie; my, okradzione — jesteśmy „czarne” i jesteśmy piękne.

Jesteśmy niepohamowane, to, co nasze, odłącza się od nas, nie osłabiając nas: nasze spojrzenia biegną w dal, nasze uśmiechy spływają łatwo, śmiech całą gębą, krew cieknie i my rozlewamy się, ale nie wycieńczając się, nasze myśli, nasze znaki, nasze pisma, nie powstrzymujemy ich i nie obawiamy się, że chybią.

Całe szczęście, pomijane, odrzucane ze sceny dziedzictwa, wdychamy i wydychamy bez znużenia, jesteśmy wszędzie!

Nam, przybyłym spoza czasu, kto może czegokolwiek zabronić, od chwili gdy już zabrałyśmy głos?

Nastał czas oswobodzenia Nowej Kobiety z więzów Starej Reguły, oznajmiając jej nadejście, trzeba wyjść naprzeciw, pozostawić tę Starą daleko w tyle, wspiąć się wyżej, jak strzała, która opuszcza cięciwę, jednym śmignięciem melodyjnie skupiająca i rozpraszająca powietrzne fale, być nareszcie czymś więcej niż tylko n i a.

Mówię, że t r z e b a: bo to jeszcze nie dokonało się, jest zaledwie kilka rzadkich wyjątków pisarstwa zaświadczonego także kobiecością. Są one tak rzadkie, że przemierzając wzdłuż różne czasy, języki i kultury², powracamy z tej wycieczki przerażone: wiadomo, że liczba pisarek rośnie (ale od XIX wieku zwiększyła się tylko nieznacznie), zawsze jednak była śmiesznie mała. Wiedza to nieużyteczna i złudna, jeśli z tego światka pisarek wyłączy się tę ogromną większość, której pisarstwo nie

² Mówię tu o miejscu „zarezerwowanym” dla kobiet w kulturze zachodniej.

różni się charakterem od pisarstwa męskiego, i albo zasłania kobietę, albo powtarza jedynie klasyczne męskie sposoby przedstawiania kobiet (wrażliwa — intuicyjna — marząca etc.).³

Otwieram tu nawias: powiedziałam „pisarstwo męskie”. Zdecydowana jestem bronić tezy, że istnieją typy pisarstwa n a c e c h o w a n e g o; że aż do naszych czasów, w sposób dużo bardziej dobitny, represywny, niż to się podejrzewa i przyznaje, pisarstwo sterowane było przez interes *libido* i kultury — więc interes polityczny i typowo męski — służyło do utrwalania i przedłużania, i to w sposób groźny, bo prawie zawsze ukryty, było miejscem tworzenia się uwodzieńskich fikcji — gdzie odbywało się zepchnięcie kobiety; miejscem promowania seksualnej opozycji (a nie: różnicy), i gdzie kobieta sama nigdy nie zabierała głosu, co jest tym bardziej groźne i niewybaczalne, że właśnie pisarstwo z a w i e r a w s o b i e m o ż l i w o ś ć z m i a n y, jest miejscem, z którego może wyrwać się wywrotowa myśl, ruch wyprzedzający przemianę struktur społecznych i kulturalnych.

Prawie cała historia pisarstwa miesza się z historią myśli, przede wszystkim stanowi jej pewien wynik, obronę i jedno z podstawowych świadectw. Należało ono w całości do tradycji fallocentrycznej. Pisarstwo to fallocentryzm, który przygląda się sobie, rozkoszuje się sobą i napawa się samozadowoleniem.

Z kilkoma wyjątkami: pojawiały się bowiem (a bez nich nie byłabym w stanie pisać, ja sama, uciekiniarka) odstępczynie od tego ogromnego mechanizmu, który obraca się i od wieków powtarza swoją „prawdę”. Pojawiali się poeci, którzy bez względu na cenę chcieli przełamać jednolitą tradycję — mężczyźni zdolni kochać dla miłości; a więc kochać innych i chcieć ich, wyobrazić sobie kobietę nie stłamszoną, więc stanowiącą suwerenny i samodzielny podmiot, „niemożliwy”, nie mieszczący się w rzeczywistych ramach społecznych; to kobieta w tekście, a poeta, by ją usłyszeć, musiał przełamać kod, który ją unicestwiał. Przy okazji tej wielkiej przemiany i poruszenia, które nagle niszczy przemoc i porządek, niejednokrotnie w tym pęknięciu spowodowanym przez trzęsienie ziemi poeta ujawnia na moment głos kobiety: tak stało się u Kleista, umierającego z pragnienia, by spotkać siostry-kochanki,

³ A więc jakie pisarstwo zasługuje na miano kobiecego? Mogę tylko zasygnalizować kilka przykładów: trzeba by przeprowadzić analizy, które by w ich znaczeniu wskazały część reprezentującą kobiecość, czym zresztą się zajmuję. We Francji (czy zauważono już nasze przerażające ubóstwo na tym polu? Kraje anglo-saksońskie dysponują dużo bardziej znaczącymi źródłami), jeśli przebiegniemy myślą wszystko, co z pisarstwa uwzględniającego kobiecość zdołało się przebić w XX wieku, natrafimy na nieliczne przykłady, zaledwie: Colette, Marguerite Duras i... Jean Genet.

córki–matki, matki–siostry, które nigdy nie dały się ujarzmić. A potem, gdy pałac władzy zostaje odbudowany, trzeba zapłacić słony rachunek: a to oznacza natychmiastową i krwawą śmierć tych niekontrolowanych przebłyków.

Tylko poeci, nie — powieściopisarze, odzwierciedlający akceptowany porządek. Poeci, gdyż poezja jest czerpaniem z podświadomości i właśnie podświadomość, ta inna przestrzeń bez granic, jest miejscem, w którym trwa to, co stłumione — a więc kobiety, albo jak by powiedział Hoffmann, czarodziejki.

Trzeba, by one się wypisały, bo jest to pomysł na nowe, buntownicze pisarstwo, które, w momencie swego wyzwolenia, pozwoli im zerwać z historią, przekształcić ją zasadniczo na dwóch, nierozzerwalnie związanych ze sobą poziomach:

— Indywidualnie: przez pisanie kobieta znów zaistnieje ciałem, które jej więcej niż odebrano, bo sprawiono, że było dziwnie obce jej samej, stało się jakby chore lub martwe, podszeptowało złe myśli, było ciągle przyczyną lub miejscem wstydliwych zakazów. Cenzurując ciało, cenzuruje się też oddech i mowę.

Pisz siebie: twoje ciało musi stać się słyszalne. Tu tryskają niespożyte źródła podświadomości. Nasza nafta sama wytryśnie, nie trzeba za nią słono płacić, w tym świecie tylko wartości spoza giełdy zmieniają reguły odwiecznej gry.

Pisanie, akt, który nie tylko „zrealizuje” od-cenzurowany związek między kobietą a jej seksualnością, a jej kobiecością, oddając jej dostęp do jej własnych sił, zwracając jej własność, jej przyjemności, jej członki, zerwie pieczęcie zakazów leżące jeszcze na wielkich połączach jej ciała; który wyrwie ją z układu *super-ego*, w którym dla niej przewidziano jedno miejsce — winnej (obwinionej za wszystko i zawsze: za okazywanie pożądań i za ich nieposiadanie, za oziębłość i za zbytnią „gorącość”, za to, że nie jest jednocześnie i taka, i inna, za zbyt macierzyński charakter i za jego niedostatek, za posiadanie dzieci i za ich brak, za karmienie i za nie karmienie...), przez tę pracę poznawczą, analizę, objawienie, wyzwolenie tego cudownego tekstu o sobie samej, którym powinna się jak najszybciej nauczyć mówić. Kobieta bez ciała, niemowa, niewidoma, nie może walczyć. Obrócono ją w sługę bojownika, jego cień. Trzeba zabić ten pozór kobiety, który nie pozwala oddychać rzeczywiście żyjącej. Wpisać tchnienie w nią całą.

— Akt, który upamiętni **Z a b r a n i e G ł o s u** przez kobietę, a więc i jej przełomowe **W e j ś c i e w H i s t o r i e**, która zawsze opierała się na jej wyparciu. Pisząc, wykuć broń przeciwko antylogosowi. Pisać, by wreszcie móc przejąć inicjatywę w swojej sprawie.

by mieć prawo i miejsce, w całym systemie symbolicznym, w procesie historycznym.

Czas nareszcie, by kobieta odcisnęła swój ślad w języku pisanim i mówionym.

Każda kobieta poznała ten niepokój, gdy musi przemówić publicznie, to bicie serca jakby chciało się wyrwać, czasem to jest nawet chwilowa utrata głosu i gruntu pod nogami, język się płacze, bo publiczne występowanie — powiem nawet: samo otwarcie ust — jest dla kobiety zachwalstwem, transgresją. To narażenie na podwójne niebezpieczeństwo, bo nawet jeśli ona przekroczy sama siebie, mowa trafia przeważnie do głuchego ucha mężczyzny, który w języku nie słyszy niczego poza tym, co powiedziane po męsku.

Pisząc jako kobieta i do kobiet, rzucając wyzwanie mowie rządzonej przez porządek falliczny, kobieta uzna kobietę i ustanowi dla niej inne miejsce niż to, jakie wyznacza dla niej symbolika — to znaczy: przełamie ciszę. Uwolni się z siideł milczenia. Nie pozwoli się więcej zepchnąć na margines albo zamknąć w haremie.

Czy słyszeliście kobietę przemawiającą na oficjalnym zgromadzeniu (jeśli w ogóle nie stanęła jak oniemiała)? — ona nie „mówi”, ona rzuca w powietrze swoje drżące ciało, ona się wylewa, w z b i j a s i ę, cała staje się swoim głosem, broni zacięcie „logiki” swojej mowy także własnym ciałem, jej ciało świadczy prawdę wraz z nią całą. Ona się wystawia. Cieleśnie materializuje sobą to, co sama myśli, oznacza to swoim ciałem. W pewien sposób ona w p i s u j e to, co mówi, gdyż nie odmawia namiętnemu i niezdiscyplinowanemu popędowi miejsca w mowie. Jej mowa, nawet „teoretyczna” czy polityczna, nigdy nie jest ani prosta, ani linearna, ani obiektywizująca, ona w historię wciąga swoją historię.

Nie ma tu tego zerwania, tego rozróżnienia między logiką mowy a logiką tekstu pisanego, którą posługuje się klasyczny męczyzna, skrępowany obowiązującą go starożytną normą, zmuszony do wyrachowania i do osiągnięcia mistrzostwa. Stąd bierze się ubóstwo męskiej mowy płynącej z samych warg, która wykorzystuje tylko małą część ciała, maskę.

W mowie kobiet, podobnie jak w ich pisarstwie, nie przestał odzywać się ś p i e w, który kiedyś był w nas, przenika nas niezauważalnie, ale głęboko i wciąż potrafi nami potężnie wstrząsnąć, ś p i e w, pierwotna muzyka, jaką jest zew miłości, który każda kobieta utrzymuje przy życiu. Skąd ten uprzywilejowany stosunek do głosu? Gdyż żadna kobieta nie broni się przed ciśnieniem uczuć tak, jak męczyzna. Ty nie dzielisz, nie budujesz, jak on, nie opierasz się też „ostrożnie” przyjemności. Nawet jeśli mistyfikacja falliczna skrzywiła prawdziwe relacje, kobieta nigdy nie oddaliła się od „matki” (dopowiedzmy, że matka nie jest tu

imieniem osoby, a źródłem dóbr). Zawsze w niej jest coś z karmicielstwa, mleka. Ona pisze białym atramentem.

Kobieta wśród kobiet: w kobiecie zawsze ujawnia się moc twórcza kogoś innego, szczególnie innej kobiety. W niej, macierzyńskiej, piastunce u kolebki, w niej samej jest: jej matka i jej dziecko, w niej samej: jej córka–siostra. Zapytasz mnie: a co dzieje się, jeśli zła matka obciążyła ją skłonnościami historycznymi? Wszystko się zmienia, odkąd kobieta obdarzy kobietę inną kobietą. W niej właśnie, utajonej, zawsze gotowej, jest źródło; i miejsce dla innej. M a t k a to też metafora: trzeba i wystarczy, jeśli kobiecie inna podaruje najlepszą część, aby mogła ona sama się zaakceptować i by w miłości przyjęła to, co z niej się „zrodzi”. Ty, jeśli tego chcesz, dotykaj mnie i pieść, daj, ty, żyjąca bezimienna, którą i ja sama jestem. Podobnie jak związek z dzieciństwem (dziecko, którym ona była, którym jest, które pocznie, wyżywi, wyda, gdy ona wciąż się zmienia), więź z „matką” — ta nieprzerwana rozkosz i gwałt — nie została przecięta. Tekst, moje ciało: przekracza wylewy śpiewu: usłysz mnie, to nie zaborcza, nadopiekuńcza „matka”; to dotykający cię, podwójny głos twoich uczuć, popychający cię odkąd wyszłaś z niemowlęctwa i mówisz, uwalniający *twoją własną* siłę; to rytm twojego śmiechu: serdeczna adresatka, która przyzwala i chętnie przyjmuje wszystkie metafory; ciało (ciała?), poddające się opisowi tak samo trudno jak bóg, dusza czy Inny; część ciebie, która wykracza poza ciebie i popycha, by wyrazić w języku twój styl kobiecości. W kobiecie jest zawsze mniej lub więcej matki, która chroni i żywi, to nie daje się oddzielić, pewna niezbywalna siła, która musi naruszać reguły. Musimy po kobiecemu przemyśleć ponownie wszystkie ustalone formy i czasy jej ciała. *We are all lesbians* — przypominają Amerykanki: to znaczy, nie poniżaj kobiety, nie czyn z nią tego, co oni uczynili z tobą.

Ona hojnie szafuje energią swoich popędów, a więc, z a b i e r a j ą c głos, ona nie może nie przekształcić bezpośrednio i pośrednio w s z y s t k i c h systemów wymiany opartych na męskiej oszczędności. Jej *libido* pociąga zmiany polityczne i społeczne dużo bardziej radykalne niż się to chce przyznać.

Gdyż od zawsze, odkąd ona pojawia się, żywa, stajemy u zarania nowej historii czy też stawania się wielu historii nawzajem się krzyżujących. Jako podmiot historii, kobieta pojawia się zawsze jednocześnie w wielu miejscach. Ona rozsada i przekracza historię ujednociającą, porządkującą, która homogenizuje i kanalizuje wszystkie siły i sprowadza przeciwieństwa do starcia na jednym polu bitwy. W kobiecie ogniskuje się historia wszystkich kobiet, ich dzieje osobiste, historia narodowa i ponadnarodowa. Jako walcząca, kobieta brała udział we wszystkich

wyzwoleniach. Musi być dalekowzroczna. Nie poprzestawać na rzutach oka. Ona musi przewidywać, że jej wyzwolenie nie tylko zmodyfikuje stosunek sił, czy przerzuci piłkę na inne boisko, spowoduje więcej zmian; pociągnie ono za sobą przemianę stosunków międzyludzkich, myśli, wszystkich sposobów postępowania; nie chodzi tu tylko o walkę klas, ale o ruch dużo szerszy, w którym zawiera się i ona. Po to by stać się walczącymi feministkami nie trzeba wychodzić z walki klasowej ani jej znosić; tymczasem trzeba ją otworzyć, rozsadzić, popchnąć, zgromadzić na zasadniczy bój; a wreszcie sprawić, by walka klas i każdy ruch o wyzwolenie klasy czy ludu nie działał jako instancja tłumiąca, pretekst do opóźnienia tego, co nieuniknione, całkowitej przemiany stosunków siły i produkcji poszczególnych ludzi. Ta przemiana już się odbywa — w USA na przykład, gdzie miliony kretów są w trakcie podkopywania rodziny, i dezintegracji całej społeczności amerykańskiej.⁴

Nadchodzą nowe czasy; to nie jest sen, ale to przekracza męską wyobraźnię, i na przykład: oni zostaną pozbawieni swoich sztudeł myślowych, a zacznie się od tego, że ich sposoby wabienia przestaną być skuteczne.

Nie da się z d e f i n i o w a ć sposobu kobiecego pisania (*une pratique féminine de l'écriture*), jest to niemożliwość wynikająca z samej jej istoty i w przyszłości też tak pozostanie, bo nie da się *steoretyzować* tej działalności, zamknąć jej, poddać regułom, co nie oznacza, że jej nie ma! Ale ona zawsze wykracza poza sposoby mówienia poddane władzy systemu fallocentrycznego; ona zawsze jest i będzie tam, gdzie nie sięga dominacja filozoficzno-teoretyczna. Mogą o niej myśleć tylko ci, którzy przezwyciężyli automatyzmy, stali się odkrywcami brzegów, których żadna władza nigdy sobie nie podporządkuje.

Stąd potrzeba uznania wlotów tej działalności, przedstawienia jej dróg i ścieżek, bliskich i dalekich. Zaczniemy od przypomnień:

1. Że opozycja płci, zawsze działająca na korzyść męczyzny, gdy przejawia się w sprowadzaniu pisarstwa do jego praw, jest niczym innym jak ograniczeniem historyczno-kulturalnym. Istnieje już literatura, w której pojawiają się nieusuwalne elementy kobiecości, a będzie jej coraz więcej;
2. Że większość czytelników, krytyków, pisarzy obu płci z powodu niewiedzy waha się z poparciem albo wręcz całkowicie neguje możliwość czy zasadność rozróżnienia pisarstwa kobiecego i pisarstwa męskiego.

⁴ Dzieje się tak wewnątrz systemu ekonomiczno-metafizycznego, który hamuje, gdy on sam nie jest poddawany analizie, a przyjmowany bezrefleksyjnie, zatrzymuje, hamuje — (chyba że zdarzy się nieprzewidywalne) — i bardzo szybko ogranicza zasięg ruchu.

Zwykle pomija się problem opozycji płci: albo całe pisarstwo, w chwili swego pojawienia się, jest kobiece; albo odwrotnie, co wychodzi na jedno, uważa się, że gest pisarski jest równoważny wobec męskiego onanizmu (a więc kobieta pisząca wykrawa sobie penisa z papieru); albo też uznaje się, że całe pisarstwo jest biseksualne, więc obojnackie, nijakie, znajduje się poza rozróżnieniami. Przyjąć, że pisanie jest pracą w tym, co „między”, podglądaniem tego samego procesu u niej i u niego, bo to właśnie jest warunkiem życia, odwracaniem dzieła śmierci; opowiadamy się po obu stronach jednocześnie, i obie strony, para złożona z dwojga, nie zastygła w walce na śmierć i życie, ale w nieskończonym ruchu, podejmująca nieustanną wymianę między dwojgiem, złożona z różnych podmiotów, które i dla siebie są zagadką i rozpoznają się wzajemnie tylko na obnażonym brzegu innego: to droga wciąż powtarzana i niewyczerpana w tysiącach spotkań i przemian siebie w innego i siebie w między sobą a nim, z których kobieta czerpie formy (i mężczyzna też, ale to już osobna historia).

Powiedziałam: „biseksualne więc nijakie”, odwołując się do k l a s y c z n e j teorii biseksualizmu, powstałej pod znakiem lęku przed kastracją, która przywołując marzenie o „człowieku totalnym” (ale złożonym z dwóch połówek) chce zatrzeć różnicę, doświadczaną zawsze jako groźba utraty, jako możliwość strasznego braku.

Tej koncepcji biseksualności jako stopienia, zatarcia różnic, służącej zażegnaniu lęku przed kastracją (można się zresztą założyć, że pisarz, który oznajmia: tu piszę biseksualnie, nie jest ani jednym, ani drugim) przeciwstawiam i n n ą b i s e k s u a l n o ś ć, taką, w której żaden z podmiotów nie zamyka się na scenie fallocentrycznej gry, ale każdy ustanawia własny świat erotyczny. Biseksualność to odkrycie w sobie, w każdym z osobna, obecności, różnorodnie manifestujących się i krystalizujących w pojedynczym podmiocie, dwóch płci, i począwszy od tego „przyzwolenia”, od momentu, gdy się je sobie da — pomnożenie form, jakie przybiera pożądanie, na całym ciele własnym i drugim.

Tak więc tę biseksualność wykraczającą, która nie znosi różnic, ale wprawia je w ruch, podąża za nimi i pomnaża, w chwili obecnej, z powodów historyczno-kulturalnych, reprezentuje kobieta, otwierająca się i czerpiąca z niej: w pewien sposób „kobieta jest biseksualna”. Mężczyzna, co nie jest dla nikogo tajemnicą, nauczył się życia w zadufanej w sobie monoseksualności fallicznej. Uznając prymat falliczny i działając zgodnie z nim, ideologia fallocentryzmu ma więc niejedną ofiarę: ja, kobieta, byłam oślepiąca przez wielki cień tego berła, i mówiono mi: czcuj je, gdyż go nie posiadasz. Lecz tym samym z mężczyzny robi się groteskowego stwora, pomyślny, to trudne do pozazdroszczenia przeznaczenie: redukcja siebie do jednego idola na glinianych jądach.

I, jak zauważają Freud i następcy, on ciągle drży, że mógłby stać się kobietą! Gdyż, jeśli psychoanaliza zaczęła od kobiety, od wypchnięcia jej z męskiej seksualności (stłumienie, które bynajmniej nie jest, jak ujawniają to mężczyźni, udane), to dziś zajmuje miejsce prawie nie do zbicia; jak wszystkie nauki „humanistyczne”, psychoanaliza powtarza taką męskość, której jest jednym z produktów.

Tu napotykamy Lacana, mocno ufortyfikowanego mężczyznę na skale, sztywno wznoszącego się na starym freudowskim przyczółku, który umocnił, mimo skonceptualizowania „na nowo” lingwistyki, utrzymując świątynię Fallusa i chroniąc przed brakiem kastracji! Stara „symbolika” istnieje i rządzi, a my, spoza porządku, wiemy o tym aż zbyt dobrze. Ale nic nie zmusza nas do tego, żeby zdeponować nasze życie, ten cenny walor, w takim banku, w którym rządzi brak; aby przedstawiać konstrukcję podmiotu w terminach dramatu powtarzających się okaleczeń; aby bez przerwy ratować przed bankructwem religię ojca. My jej nie chcemy. Nie tańczymy w kółko wokół najwyższej dziury. Nie ma żadnej k o b i e c e j przyczyny, by trzymać się porządku negacji. Kobiecość (poeci wpadli na ten trop) jest afirmacją: ...*and yes I said yes I will Yes*. Tak, mówi Molly, wynosząc *Ulyssesa* ponad dotychczasowe dzieła w kierunku nowego pisarstwa, i tak powiedziałam tak, chcę. Tak.

„Czarny kontynent” nie jest ani czarny, ani niezgłębiony: pozostał do tej pory niepoznany, gdyż kazano nam wierzyć, że jest zbyt ciemny, by go zgłębić. Wmówiono nam, że warto zajmować się tylko białym kontynentem, wraz z obowiązującym tam mechanizmem Braku. A my wierzyliśmy. Byliśmy uwięzione między dwoma przerażającymi mitami: Meduzy i otchłani. Miałoby się z czego śmiać pół świata, gdyby tak trwało dalej. Gdyż następna zmiana fallogocentryzmu już właśnie nadchodzi, zbrojna po zęby w stare schematy, wierna swojemu dogmatowi kastracji. Oni niczego nie zmienili: własne pragnienia uczynili teorią, a p r z e z t o — rzeczywistością. Jakże oni teraz drżą, świętoszkowie, że p o k a z e m y nasze obrządki!

Ich sprawa, jeśli padną odkrywając, iż kobiety nie są mężczyznami i czego tak właściwie matka nie posiada. Ale czy ta obawa nie upośledza ich? Czy najgorsze nie jest to, naprawdę to, że kobieta nie jest kastratem i wystarczy, by przestała słuchać syreniego śpiewu (gdyż syreny były mężczyznami), a już historia zmieni kierunek? Wystarczy spojrzeć w twarz Meduzy, by ją ujrzeć: od tego się nie umiera. Ona jest piękna i śmieje się.

Oni twierdzą, że dwie rzeczy są niewyraźalne: śmierć i kobiecy organ. Potrzebowali, by kobieta kojarzyła się ze śmiercią: i staje im ze strachu! Jest im potrzebny ten strach przed nami. Popatrz teraz na tych Perseuszy,

jak drząc przed naszym złym czarem, zbliżają się do nas tyłem! Piękne plecy! Nie warto tracić czasu.

Spieszmy się: nasza kraina nie jest ani czarna, ani nieprzystępna. Bywałam tam często. Pewnego dnia z radością spotkałam w niej Jeana Geneta. To były *Pompes funèbres*: przybył tam wiedziony przez swego Jeana. Są mężczyźni (tak nieliczni), którzy nie boją się kobiecości.

O kobiecości kobiety mają jeszcze do napisania prawie wszystko: o swojej seksualności, czyli o jej nieskończoności i zmiennej złożoności, o swoim erotyzmie, różnych regionach ciała, które potrafią zapłonąć, nie dłatego, że są do tego przeznaczone, lecz dlatego że chcą przygody, przebudzenia, odkrycia, o cichych miejscach niedawno wstydlivych, a teraz — wynurzonych. Ciało kobiety z tysiącem łatwo zapalnych punktów, gdy ona da swoje przyzwolenie — wbrew sędziom i cenzorom — by wyrazić narastanie oznak, które ją zewsząd przenikają, każąc staremu i jednolitemu językowi macierzyńskiemu rozbrzmiewać wielością języków.

Odwróciliśmy się od naszych ciał, bo nauczono nas wstydlivie nie zwracać na nie uwagi, wpojono głupią pruderię; wystawiono je na targu głupców, gdzie każdy kocha inną pleć. Ja podaruję ci twoje ciało, a ty dasz mi moje. Ale gdzież są mężczyźni, dający kobietom ciała, które one im ślepo zwracają? Dlaczego tak mało tekstów? Dlatego, że aż dotąd tak mało kobiet odzyskało swoje ciała z powrotem. Kobieta powinna pisać poprzez doświadczenie ciała, wynaleźć niezdojbyty język, który rozsądzi ograniczenia, klasy i retoryki, porządki i kodyfikacje, powinna zdobyć, podporządkować i przezwyciężyć sposoby mówienia na specjalne okazje, w tym ten, w którym mówi się słowo „milcz” i ten, który napotyając niemożliwość zatrzymuje się przed słowem „niemożliwe” i zastępuje je pisząc: „koniec”.

Takie są możliwości kobiet, że przeskakując wymogi składni, łamią jej ustaloną linię (cieniutką linię... powiedzą niektórzy), która mężczyznom zastępuje pępowinę, bez której nie potrafią osiągnąć rozkoszy, że mama jest i na pewno za nimi patrzy podziwiając ich fallusa, one nie zatrzymują się przed niemożliwością.

„Wyparcie” z ich kultury i ich społeczeństwa, gdy ono znów następuje — to jest burzliwy powrót, k o m p l e t n i e rujnujący, po prostu przewrót o nie spotykanej jeszcze sile i największej skali represji: gdyż przy końcu epoki fallicznej, kobiety będą albo zniszczone, albo zapłoną. Przez długą głuchotę w swojej historii żyły jak we śnie, w ciałach, ale ich nieświadome, w milczeniu, w niemym buncie.

I jaka będzie siła w nich, tak kruchych: „delikatność”, słabość, na miarę ich siły. Nie dokonały sublimacji. Na szczęście: ocaliły swoją skórę, swoje możliwości. Nie przyłożyły się do urządzania życia bez przyszłości.

Zamieszkały z furją w zbyt kownych ciałach: ciałach wspaniałych historyczek, które zmusiły Freuda, by ścierpiął tyle podniecających i niewysłowionych chwil, bombardując jego moźeszowy pomnik ich mięsistymi i namiętnymi słowami ciała, nawiedzając go z trudnymi do wysłuchania szalonymi wyznaniem, bardziej niż nagie za siedmioma welonami pruderii, porażające. Te, które w jednym słowie ciała zawarły oszalałmający zawrót głowy historii, jak strzała wyrwijającej z historii męzczyzn, ze społeczeństwa biblijno-kapitalistycznego, to one, niegdys skazane, wyprzedzając nowe kobiety, te po których żadna relacja intersubiektywna nie będzie taka sama. To ty, Doro, nieujarzmiona, ciało poetyckie, prawdziwa „kochanka” Znaczącego. Zobaczmy skutki tego dzieła w bliskiej przyszłości, gdy mowa nie będzie już związana, ostrze pióra odwrócone od twej piersi, gotowe na spotkanie innego.

W c i e l e: bardziej niż męzczyzna, nastawiony na społeczny sukces, na sublimację, kobiety są ciałami. Więcej ciała, więc więcej pisma. Tak długo cielesnie odpowiadała na rodzinno-mażeńskie przedsięwzięcie udomowienia, na powtarzające się kastracje. Ta, która dziesięć tysięcy razy ugryzła się w język, by nic nie rzec: albo już ją to zabiło, albo poznała język i prawo do zabierania głosu lepiej niż wszyscy. Teraz ja–kobieta unieważnię Prawo: ten wybuch już jest możliwy i nieunikniony; więc niech to się stanie zaraz, w j ę z y k u.

Nie damy się złapać w sidła analiz uwikłanych w stare automatyzmy: nie wierzymy, że w języku kryje się wróg nie do pokonania, gdyż to jest język męzczyzn i ich gramatyka. Nie można im ustąpić miejsca, które nie jest wyłącznie ich, jak i kobiety nie są ich wyłączną własnością.

Jeśli kobieta zawsze funkcjonowała „wewnątrz” mowy męzczyzny, oznaczając zawsze odesłanie do przeciwnego znaku, który zarazem niszczył jej specyficzną energię, dusił odmienne dźwięki, to teraz jest czas, by to „wewnątrz” uległo zmianie, by ona je rozsadziła, uczyniła je swoim, pojmując język i biorąc go w swoje usta, dla siebie, żeby ona go ugryzła własnymi zębami w język, by ona stworzyła własny język, którym mogłaby w niego wejść. I z taką swobodą, zobaczysz, spod „wewnątrz”, gdzie była uspiona, może wytrysnąć na usta i wytoczyć z nich pianę.

Nie chodzi też o to, by przejąć ich metody, ich pomysły, ani by chcieć zająć ich miejsca i zyskać pozycję panów. Wiemy, że istnieje niebezpieczeństwo identyfikacji, ale nie musimy mu się poddać. Zostawmy niespokojnym ich męskie strapienia i ich obsesję dominacji, ich wiedzę „jakie jest życie”, potrzebną żeby „je urządzić”. Zawładnąć nie po to, by się uzewnętrznic, ale by wzbić się wyżej, by latać i by „ukraść”.

„K r a ś ć i l a t a ć” — to gest kobiety, kraść w języku, ukraść go i poszybować. **K r a d n ą c** nauczyliśmy się wszystkich sposobów, od

wieków, odkąd nie posiadamy dostępu do nich inaczej niż przez kradzież: żyłyśmy kradnąc, szukając ukrytych i wąskich dróg dla pożądania. Szybując w powietrzu nauczyłyśmy się tych wszystkich sposobów: żyłyśmy w locie, szukając dla pożądania otwartych przestrzeni. To nie jest przypadek: ta „kradzież” odbywa się między dwoma lotami, jedno jest z drugim powiązane, a znaczenia grają ze sobą, wymieniając się sensem.⁵

To nie przez przypadek kobieta ma wiele ze sroki–złodziejki, jak i złodziejce naśladują kobietę i ptaka: mijając cię rzucają spojrzenia, bawią się mieszając porządek przestrzeni, wprowadzają w błąd, zmieniają miejsce rzeczy, wartości, zyskują na tym, że opróżniają struktury, a zapełniają własne.

Jaka kobieta nie kradła i nie latała? Która niczego nie czuła, nie wyśniła, nie zrobiła nigdy gestu przeciwko społeczności? Która nie wprowadzała bałaganu, nie ośmieszyła linii podziału, nie wpisała się swoim ciałem w odmienność, nie wstrząsnęła skostniałym systemem par i opozycji, nie rozwaliła jednym gestem konieczności następstw, nie zrywała pęt i murów ścisłych zaleceń?

Tekst kobiecy nie może, nie może być niczym innym niż aktem wywrotowym: jeśli się go pisze, to tylko wylewając się, jak wulkan, spod starej nieruchomej skamieliny, znoszącej męskie ataki: i nie inaczej, gdyż inaczej nie ma miejsca dla niej, jeśli ona nie jest nim? A jeśli ona to ona–ona: to po to, by wszystko zmieść, rozbić na kawałki podstawy obecnych instytucji, wysadzić w powietrze prawo, a od „prawdy” skrećąc się ze śmiechu.

Gdyż ona nie może, odkąd j e j głos przebił się do dziedziny symboli, nie może nie wprowadzać „chaosu” wypowiedzi osobistej, pełnej imion własnych i przypisanych im znaczeń. I są tego przyczyny: był przecież w długiej historii okres kobietobójstwa; i jak wiedzą ludy niegdyś kolonizowane, pracownicy najemni i wszyscy, kosztem których męska historia bogaciła się, wszyscy, którzy poznali hańbę prześladowań ciągną za sobą w przyszłość uporczywe pragnienie wielkości; gnębionych o wiele silniej niż gnębiących wabi zapach wolności. Dzięki swojej historii kobiety wiedzą (i robią) dziś to, co mężczyźni uświadamiają sobie z trudem i poniewczasie: powiedziała, że kobieta bulwersuje „osobistością” odczuwania: jako że długo przy pomocy prawa, szantażu, kłamstwa i małżeństwa pozostawała wyzuta z prawa do siebie samej i do swego własnego nazwiska, może ona, właśnie przez to poddanie

⁵ Cały ten fragment oparty jest na homonimiczności francuskiego czasownika *voler*: kraść, latać. Ponieważ taki czasownik w języku polskim nie istnieje, wprowadzam tu srokę–złodziejkę, by choć częściowo oddać grę sensów (przyp. tłum.).

potwornym metodom alienacji, widzieć dokładniej czczość „czystości”, redukującą podłość subiektywnej ekonomii męsko-mażeńskej, której opiera się dwojako. Z jednej strony staje się „osobą” zdolną stracić część siebie samej nie będąc całkiem zgubiona. Ale w ukryciu, milcząco, w swoim wnętrzu, ona rozszerza siebie i się mnoży, gdyż, z drugiej strony, zna życiową relację między ekonomią popędów a świadomym kierowaniem sobą i opanowała to o wiele lepiej niż jakikolwiek mężczyzna. W odróżnieniu od mężczyzny, któremu tak zależy na jego tytule i wszystkich innych tytułach oficjalnych giełd wartości, na koronie i wszystkim, co tyczy jego głowy, kobieta kpi sobie z jego obawy przed utratą któregoś z członków (głowy czy penisa) i odważnie zapuszcza się — bez męskich obaw o anonimowość, w której nauczyła się rozplęwać, nie topiąc się: gdyż to ona jest stroną d a j ą c ą.

Miałabym wiele do powiedzenia o całym problemie błędnego rozumienia tego daru. Kobieta nie jest z pewnością tą z fantazji Nietzschego: nie po to daje, by brać. Któż może uważać, że dawanie to zabieranie, jeśli nie mężczyzna, który chce wziąć wszystko?

Jeśli istnieje coś takiego jak „czysto kobieca właściwość”, to jest nią paradoksalnie zdolność ponoszenia bez żalu straty: ciało bez końca, bez „celu” i „części” podstawowych, ona jest zawsze całością, złożoną z nierozdzielnych części, a nie po prostu z osobnych obiektów, lecz zespołem w ruchu i w ciągłej zmianie, nieskończonym kosmosem, przez który przebiega bez przerwy Eros, nieskończoną przestrzenią gwiezdą bez słońca, supergwiazdy pośrodku.

To jednak nie znaczy, że jest ona jednolitą magmą, ale że ona nie hierarchizuje ściśle swego ciała i swego pożądania. Seksualność męska ogniskuje się wokół penisa, a różnicując ciało (anatomia polityczna) centralizuje, wprowadza dyktaturę jednych części nad resztą. Myśląc o sobie kobieta nie posługuje się taką regionalizacją, zawsze na korzyść pary głowa — seks, a są one po prostu wpisane w całość. Jej *libido* jest kosmiczne, jak jej podświadomość jest światowa: jej pisanie musi podążać tą drogą, nie wpisując i nie wyróżniając granic centrum, a wążąc się na coś wartościowego, przekraczanie granic innego, krótkie i namiętne pobyty na tym obszarze, gościny w nim, niej, nich, mieszkanie na czas oglądania z tak bliska, jak tylko można, ich podświadomości, kochanie ich z całym żarem popędów, a potem odchodzi, nasączona krótkimi uściskami identyfikacji, i idzie w nieskończoność. Tylko ona ma odwagę i naprawdę chce poznać wnętrze, w które ona, wykluczona, nie przestała się wsłuchiwać i odczytywać przedjęzykowe sygnały. Ona pozwoli mówić w tysiącu języków innemu językowi, który nie zna murów ani śmierci. Ona niczego nie odmawia życiu. Jej język nie zamyka, przenosi, nie zatrzymuje, lecz umożliwia.

A jeśli to zapowiada przemieszanie, cud bycia wieloma, ona nie broni się przed tym nieznanym, które w sobie już podejrzewała, rozkoszując się swoim darem stawania się inną. Jestem obszernym Ciałem śpiewającym, na którym zaszczepiono nikt nie wie co, coś mniej lub bardziej ludzkiego, lecz żyjącego, bo ciągle przekształcającego się.

Pisz! I Twój tekst szukając się pokaże więcej niż ciało i krew, ugniatane ciasto, rosnące, podnoszące się, zawierające dźwięczne składniki, zapachy, nabierające różnych kolorów, rozwarstwienia, kartki jak liście spływające z rzeką do morza, które sobą żywimy. Ach! Więc oto jej morze, powie mi on, który podstawia mi swój basenik pełen fallicznej i mamusinej wody, od której nie może się uwolnić. Ale oto nasze morza staną się tym, czym je zrobimy, rybne lub nie, ciemne lub przejrzyste, czerwone lub czarne, w przyptywie lub odpływie, wąskie lub bezbrzeżne, to my same dla siebie jesteśmy morzem, piaskiem, koralem, algami, płazami, pływaczkami, przyptywami, dziećmi, falami.

Ponieważ jesteśmy morzem i ziemią i niebem, jakiz z żywiołów nam zagrozi? Znamy mowę każdego z nich.

Heterogenna, tak, to szczęśliwe dobrodziejstwo, ona jest erogenna, kobieta jest erogenna dzięki heterogeniczności; nie na sobie jej zależy, pływaczce powietrznej, sroce-złodziejce. Trudno uchwytna, rozrzutna, łakoma rzeczy i przyjemności, zdolna stawać się inną, inną kobietą w przyszłości, kobietą, którą ona nie jest, nią, tobą.

Kobieto, nie bój się ani tu i teraz, ani tam i indziej, siebie ni innych. Moje oczy mój język moje uszy moj nos moja skóra moje usta moje ciało — dla — otwarte na inne, nie dlatego, że go pożądam, by zatkać swoją dziurę, by wynagrodzić sobie jakiś własny niedostatek, trawiona bezustannie kobiecą „zazdrością”; nie dlatego, że jestem związana łańcuchem substytucji pociągających następne substytucje, aż do szczytu. Koniec już z bajeczką o małym ptaszku, o *Penisneid*, którą szeptały stare wiedźmy straszące swoich wnuków. Aby wnukowie wierzyli, by pomogło to im zrobić z siebie „kogoś”, bo oto my skręcamy się z zazdrości, jesteśmy samą dziurą obramowaną pragnieniem ich penisa, oto ich słynny interes. Niezaprzeczalnie (zweryfikujmy to według naszych kosztów — ale także i przyjemności), musimy wziąć pod uwagę, że mężczyźni osiągają równowagę, gdy my zauważamy ich niewątpliwe oznaki męskości (my, macierzyńskie kochanki ich *signifiant* ukrytego w rozporoku, które tak wiele znaczy u Lacana), utwierdzamy ich, że oni rzeczywiście to mają i mogą. W dziecku kobieta nie pragnie penisa, to nie jest ta słynna częśćka, wokół której grawituje każdy mężczyzna. Cięża nie sprowadza się, z wyjątkiem historycznych warunków starożytności, do przeznaczenia, jakim jest mechaniczne zastępowanie,

nie pociąga za sobą nieśmiertelnej „zazdrości”; to nie są konieczności: ani *Penisneid*, ani narcyzm, ani homoseksualizm tłumaczony oddziaływaniem matki, bo jakże inaczej! Poczęte dziecko nie wpycha kobiety ani mężczyzny w schemat, nie żąda dołączenia do cyklu reprodukcji. Jeśli pojawia się tu ryzyko, to nie ma zasadzki nie do wyminięcia: jeśli na kobiecie nie zacznie ciążyć pod powłoką tego, co świadome, pewien nadatek zakazów. Chcesz dziecka, lub go nie chcesz, t o t w o j a s p r a w a. Niech ci nic nie zagraża; niech nic nie narzuca ci niegdysiejszej obawy przed byciem „zawładniętą”, i niech jej nie zastępuje nowa obawa, wynikająca z twojego pragnienia bycia winną w społeczności. I będziesz się obwiniać licząc na zaślepienie i bierność wszystkich, wierząc, że dziecko c z y n i mężczyznę ojcem i że poczynając dziecko automatycznie powołujesz na świat matkę–ojca–rodzinę? Nie. Do ciebie należy przerwanie starego biegu rzeczy. Trzeba będzie dla kobiety i dla mężczyzny — gdy przedawni się stara relacja, ze wszystkimi tego konsekwencjami, wymyśleć nowy podmiot, wprowadzić go w życie wraz z od-rodzinnieniem. Od-mater-paternalizować bardziej niż pozbawić kobietę fascynującego okresu cielesnego, z obawy przed prokreacyjnym schematem. Odfetyzujemy. Wyjdźmy z dialektyki, która chce, by dobry ojciec był martwym ojcem, lub dziecko — pociągało śmierć rodziców. Dziecko to inny, ale inny bez przemocy, bez przejścia przez utratę i przez walkę. Mamy dość ciągłego wiązania, tworzenia więzów, które trzeba przecinać, powtarzania starej litanii o kastracji przenoszonej z pokolenia na pokolenie jak dziedzictwo. I nie będziemy już posuwać się naprzód tyłem, tłumiąc coś tak podstawowego jak chęć życia. Popędy oralne, analne, wokalne, wszystkie te popędy są naszą dobrą siłą i między nimi popęd rodzenia — całkiem jak chęć pisania: chęć życia w środku, chęć brzucha, języka, krwi. Nie odmówimy sobie — jeśli nam się spodoba — powabu i rozkoszy ciąży, zawsze dramatyzowanej, zohydżanej czy przekłetej, przynajmniej w tekstach klasycznych. Gdyż tu pojawia się pewne specyficzne odrzucenie, i to właśnie tam je można znaleźć: tabu kobiety ciężarnej, które mówi przecież o mocy, jaką ona posiada, choć przecież podejrzewano zawsze, że ciężarna nie tylko podwoiła swoją wartość jako towar, ale także dowartościowała siebie jako k o b i e t ę w swoich własnych oczach, i — bez wątpienia — posiadała ciało i płeć.

Jest tysiąc sposobów odczuwania ciąży; rozwijania lub nie kontaktu o różnej intensywności z tą niewidzialną jeszcze istotą. Ale jeśli nie masz na to ochoty, nie znaczy to, że czegoś ci brakuje. Każde ciało funkcjonuje w niepowtarzalny sposób, bez modelu, normy, całość nie ograniczona i zmieniająca się w wyniku swoich pragnień. Ty decydujesz o swojej pozycji w przestrzeni zakazów lub przyjemności i realności. Wydać na

świat innego: kobieta potrafi żyć dzieląc życie, poród nie jest ani utratą, ani pomnożeniem siebie. To dodanie do całości życia kogoś nowego. Marzę? Mylę się? To wy, obrońcy „teorii”, potakiwacze starego pomysłu, wyznawcy wyższości fallusa (ale nie penisa) znów będziecie krzyżeć, że jestem „idealistką”, albo jeszcze gorzej — oplujecie to jako „mystycyzm”.

A co z *libido*? Czy nie czytałam u Lacana o Znaczeniu Fallusa? I oddzielenie, odcięcie kawałka siebie, czego doświadczasz rodząc, czyż to nie jest — jak oni twierdzą — potwierdzenie ich śpiewki?

A przy tym nie dostrzega się, że w moich tekstach penis odgrywa pewną rolę, ma swoje miejsce i siłę przyciągania. Z pewnością... Chcę wszystkiego. Chcę siebie całą z nim całym. Dlaczegoż miałabym pozbawiać się jakiejś części n a s? Chcę więc nas całych. Oczywiście, że ona ma chęć, ale to „chęć” miłosna, a nie zazdrosna. Nie dlatego — że ona jest wykastrowana, pomniejszona i chce wyrównać niedosyt, wygoić ranę albo i zemścić się. Dla ozdoby mego ciała niepotrzebny mi penis. Lecz pragnę innego dla innego, w całości i z siebie całą; gdyż żyć to pragnąć wszystkiego, co jest, wszystkiego, co żyje, i jako żyjących. Kastracja? To nie dla mnie. Cóż to za pragnienie, które rodzi się z poczucia braku? To małe pragnienie. Kobieta, której ciągle wygraża wielki fallus, przejęta tym cyrkiem, traktowana bezwzględnie przez wielkiego mistrza, to kobieta przeszłości. Jest ich jeszcze dużo, podatnych ofiar najstarszej z fars, granej w wersji premierowej bądź niemej, gdy nad ich ciałem wznosi się złoty cielec starożytnej teorii fallicznej, którego nigdy nie widziały, tytanki uspione górą, którą same usypały przez swoje drżenie. Albo też dzisiaj, wychodząc z okresu bezruchu, zostaną otoczone przez wojowników imperium analitycznego, i, kiedy tylko na nowo swoje określają pragnienia, jeszcze nagie, bezimienne, szczęśliwe, że powstały, oto nagle — znów zjawiają się starcy i wciągają je do kąpieli, i hop! pokretny, ustrojony na nowocześnie demon interpretacji sprzedaje im podzwaniając brzęczącymi sygnifikantami te same kajdanki i inne zachwycające wisioriki: nową wersję, „oświeconą”, ich wstydlivej niższości. Jaki typ kastracji wolisz? Który bardziej ci się podoba, mamy czy taty? O śliczne oczki, proszę, śliczna dziewczynko, kup moje okulary, a zobaczysz Prawdę–Mnie–Ja, opowiem ci wszystko, w co powinnaś wierzyć. Załóż je na nos i rzuć okiem fetyszysty (którym jesteś, ja, inny analityk, cię tego nauczę) na swoje ciało i ciało Innego. Widzisz? Nie? Poczekaj, wszystko ci wyjaśnimy, a potem okaże się, do jakiego gatunku nerwicy należysz. I nie ruszaj się, zrobimy ci portret, abyś jak najszybciej stała się do niego podobna.

Tak, ich jest cały legion, pierwszych — i drugich! — naiwnych. Te nadchodzące, jeśli odważą się tworzyć na uboczu teorii, będą upomniane

przez dozorców strzegących Signifiantów, wykpione, przywołane do porządku, który powinny znać; pozwane podstępą siłą, na określone miejsce w łańcuchu, który się zaciska zawsze na korzyść „znaczenia uprzywilejowanego”. I albo wyznasz W Imię Ojca, albo, żeby było modniej, pouczą cię o kulcie matki fallicznej.

Moja droga, strzeż się Znaczącego, które chce cię znów sprowadzić w niewolę Znaczonego! Strzeż się wskazówek, które chcą ograniczyć twoją moc twórczą. Imiona „powszechnie” są też imionami własnymi, które obniżają twoją jednostkowość, wyznaczając ci miejsce w gatunku. Przerwij koło, wystąp z zakonu psychoanalitycznego: zrób jedno okrążenie i przekrocz zakłete koło!

I jeśli nas jest legion to znaczy, że walka o oswojenie zdołała dopiero otworzyć tylko wąską szczelinę. Ale kobiety ciągną ku niej, widziałam je, to te, co nie chcą być kurami domowymi ani pogardzanymi, te, które nie boją się ryzyka bycia kobietą.

Ani żadnego ryzyka, żadnego pragnienia, żadnych jeszcze nie zbadanych obszarów wewnętrznych, zewnętrznych i międzyludzkich. Ona nie fetyszyzuje, nie zaprzecza, nie nienawidzi, ona obserwuje, zbliża się, chce zobaczyć drugą kobietę, dziecko, kochanka, nie po to, by zaspokoić swój narcyzm, samotność, czy słabość poszukiwaniem mistrza, ale by lepiej kochać, by poznać, co to jest inna **M i ł o ś ć I n n e g o**:

Na początku są nasze różnice. Nowa miłość nabiera śmiałości, pragnie drugiego, coraz śmieiej przefruwa między poznaniem się a pomysłami. Ona, przybywająca spoza czasu, nie zatrzymuje się, lata wszędzie, wymienia, jest pragnieniem — które daje. (Nie zamknięta w paradoksie daru, który odbiera; ani w iluzji stapiania się, jedności dwojga. To już nie to wybieramy.) Ona między ja—ona i ty między innym ja, gdzie pojedynczy podmiot to nieskończenie więcej niż jeden tylko i niż „ja”, nie obawiając się tego, że istnieje jakaś granica: wyznacza ją tylko zadowolenie z naszego przybycia. I ona będzie się wciąż przesuwac, nie zatrzymamy się! Ona przekroczy obronne przywiązanie, nadopiekuńczość, zaborczość; znajdzie się ponad skąpstwem narcyzmu, w obszarze ruchomym, otwartym, czasem nie pozbawionym właściwego ryzyka; ponad utartymi koleinami walki na śmierć i życie, miłości — wojowania, podającego się za wymianę, ona śmieje się z dynamiki takiego Erosa, którego karmi nienawiść. Nienawiść: dziedzictwo, pozostałość oszukańczego poddaństwa fallusowi. Kochać, widzieć — myśleć — szukać innego w innym, od-spekulować, od-teoretyzować. To trudne? Ale nie niemożliwe: i właśnie to karmi życie, miłość, która się nie ogranicza do tego niepokojącego pragnienia wynagrodzenia braku i chce oswoić obcość, która cieszy się wymianą, która pomnaża. Ona nie wchodzi

tam, gdzie historia toczy się jako historia śmierci. Opozycja, hierarchizująca wymiana, walka o mistrzostwo, która kończy się nie inaczej, jak co najmniej jakąś śmiercią (mistrz — niewolnik, pojedynek — ofiary śmiertelne), to wszystko należy do czasów zdominowanych wartościami fallocentryzmu; i choć taka jest wciąż teraźniejszość, to kobieta gdzie indziej zaczyna historię życia. Gdzie indziej — bo ona daje. Ona nie „wie”, co daje, nie mierzy swego daru; ale robi to nie dla zamiany i nie daje tego, czego nie ma. Ona daje więcej; bez ubezpieczenia, że zwróci się jej od tego daru jakiś podarunek, nawet nieprzewidywalny. Ona daje coś do życia, do myślenia, do przemiany. I ta kalkulacja jest nie do wyliczenia przy pomocy pojęć ekonomicznych. Gdzie ona kocha, tam żadne ujęcia tradycyjnego zarządzania nie sprawdzają się. Ona tu nie zarabia na swoje, a zarabia na różnice. Będę dla ciebie tym, czym chcesz, żebym się stała w chwili, gdy na mnie patrzysz, będę taka, jakiej mnie nigdy nie widziałeś: w każdej chwili. Kiedy piszę, to wszystko czego nie wiemy, kim powinniśmy być, wypisuje się ze mnie, bez ograniczeń, bez przewidywań, i wszystko czym my będziemy nas woła do niestrudzonej, upajającej, nigdy nie sytej pogoni za miłością. Zawsze na siebie natrafimy.

przełożyła Anna Nasilowska
konsultacja — Marek Bieńczyk

Od redakcji: *Hélène Cixous urodziła się w 1937 roku w Oranie. Autorka książek: „L'Exile de Joyce ou l'art du remplacement” (Paris 1968, przekład angielski — 1972) i „Prémoms du personne (sur Hoffman, Kleist, Poe, Joyce)” (Paris 1974). Założycielka studiów kobiecych na Uniwersytecie Paris-Vincennes, prowadziła seminarium psychoanalityczno-polityczne. Odrzucała feminizm jako ruch zbyt wąski, walczący wyłącznie o prawa wewnątrz systemu patriarchalnego. Zajmowała się też twórczością literacką (opowiadania i sztuki „Portrait de Dora” i „Le Nom d'Edipe”). W 1969 roku otrzymała Prix Médias. Od 1975 roku publikuje wyłącznie w wydawnictwach kobiecych: „La Jeune Née” (we współpracy z Catherine Clement, Paris 1975), „Vivre l'orange” 1979. Manifest „Le rive de la Méduse”, którego przekład polski prezentujemy, po raz pierwszy został opublikowany w czasopiśmie „L'Arc” 1975 nr 61, następnie ukazał się przekład w USA: „The Laugh of the Medusa”, tłum. Kate i Paula Cohen, druk „Signs” 1976, przedruk w tomie: „New French Feminisms”, ed. E. Marks, I. Courtivron, Brighton 1980. Idee Cixous zostały uznane za niezwykle inspirujące, ale jednocześnie spotkały się z dość zasadniczą krytyką — np. Toril Moi („Sexual Textual Politics: Feminist Literary Theory”, Routledge, London and New York 1985) określa propozycję Cixous jako „an imaginary utopia”.*